

OPOWIEŚĆ O LESZCZYŃSKIM PLUTONIE



Pamięć: karta poszarpana na strzępy, strzępy rzucone na wiatr. Pismo wyblakłe od słońca, rozmazane przez deszcze. Możemy zbierać skrawki, dopasowywać jeden do drugiego. Brakuje niektórych ważnych fragmentów, inne — mniej ważne — zachowały się aż nazbyt dobrze. W każdym razie wystarczy tego, co zostało, na opowieść prawdziwą o leszczyńskim plutonie.

Pluton ten przypuszczalnie nie wyróżnił się niczym w sześćdziesiątej drugiej, wielkopolskiej brygadzie. Jeśli właśnie o nim piszę tę opowieść to tylko dlatego, że w Lesznie, nie gdzie indziej, trafiłem na wyraźne ślady chłopów, którzy z naszytymi na mundurach emblematami „Służba Polsce” budowali Nową Hutę.

Księgarnia w Rynku zamknięta, przez witrynę widać taki obraz, jakby niedawno szalał tam huragan. Wśród stert książek kręci się kilka osób. Na moje uprzejme pukanie jedna z pań otwiera drzwi i zgadza się poprosić na chwilę kierownika.

Był pan w Lesznie komendantem powiatowym organizacji „Służba Polsce” — zaczynam i wyluszczam, co mnie sprowadza. Marian Lisowski w pierwszym odruchu zdradza niechęć do rozmowy. Rozumiem go, bo wiem, czym są dla kierownika księgarni przygotowania do remontu, ale nie ustępuję, próbuję sprowokować pierwsze zdanie, wywołać choć jedno wspomnienie. Uda się znakomicie, już po chwili, nie chcąc podstępnie wykorzystywać sytuacji, sam muszę przerywać i przypominać, że umówiliśmy się na dogodniejszy dzień.

Wspomnienia płyną nierówno, od czasu do czasu wpada w nie starszy nurt, partyzancki, to znów przerywają je dygresje odnoszące się do teraźniejszości, czynione z pozycji

radnego, prezesa oddziału ZBoWiD i przyjaciela młodzieży.

Był w Lesznie pobór do SP. Któregoś z chłopaków przyszedł pijany. Współtowarzysze ukryli go w piwnicy i tak ofiarnie kurowali, aż wrócił do formy. Uważali to za wielki wstyd, żeby tuż przed włożeniem munduru pokazywać się ludziom w stanie nietrzeźwym.

Odjeżdżało ich tylko trzydziestu, a na dworzec pół miasta przyszło żegnać. Z bagażem matczynych napomnień, pewnie z odrobiną żalu, ale na zewnątrz ze skoczną piosenką, jechali nie bardzo zdając sobie sprawę, że jadą budować historię.

W Mogile pod Krakowem zastali wśród pól obóz urządzony na wzór wojskowy: wyrównane rzędy namiotów, plac alarmowy, sztandary, wartę. Biegali po polach z palikami, miezłami, kopali rowy, rozbiłali wiejskie chałupy i chlewiki, szykowali drogi. Słuchali na wykładach o tym, czemu ma służyć ich praca, ale choć by na sto koni wyobraźnię wsadzić, nie mogli ujrzyć przyszłości. A jednak ani na chwilę nie zwątpili w sens dzieła — na razie raczej niszczycielskiego niż twórczego.

Sami w większości ze wsi — przekopywali się przez uprawne pola, bujne łąki. Równali z ziemią zagrody. Co krok spotykali się z oporem właścicieli ziemi i zagród. A czasem przychodziło w ciągu jednego dnia kilkanaście, lub kilkadziesiąt razy przecinać wąskie, z działa prądziada na potomków dzielone zagony. Co miedza to tragedia. Musieli ją doskołać rozumieć, lecz rozumieli więcej. Opowiadali chłopom, jak to się inaczej żyje we wsiach murowanych, jaka to korzyść, gdy zbędne rece i gęby do żywienia odchodzą z zagrody do fabryki.

Przekonać nie było łatwo. Różne „wolne głosy” mówiły całkiem co in-

nego, mikołajczykowcy sugestywnie perswadowali: „po co przemysł, chłop potęga jest — i basta”. Leciały ulotki, puszczone wieść, że jak stanie przemysł, to w razie wojny ze szczętem zbombardują tę spokojną okolicę, żywego świadka pogromu nie zostanie. W Bieszczadach jeszcze trwały walki z bandami. („Zresztą po co aż w Bieszczady, wtedy — w czterdziestym ósmym — z Leszna do Krzemieniawa przekradaliśmy się na zebranie przez las partyzanckimi metodami. W Krzemieniuwie sekretarza partii i milicjanta zamordowali”).

Ale mundur junaka dość szybko zyskał uznanie. Zdobywali względy różnymi sposobami. A to, że zjawili się przed zniwami, i odczekali, aż chłopcy plony zbiorą. A to, że jak kto chciał łaskę skosić, to mu czas dawali, szli do innej roboty. A najlepiej godzili się przy ogniskach w soboty i w niedziele, bo junacy umieli się zabawić i innych do zabawy wciągnąć.

W zabawie łatwo o przesadę. Kiedyś leszczyńskiemu plutonowi sasiędzi z drugiego namiotu narzędzia ukryli. Przysypali je po prostu piaskiem i leszczyńskie godzinie straciły na poszukiwania. Ten żart oburzył ich do głębi, bo nie tylko oni, ale i wszyscy inni nie lubili marnować godzin pracy. Na złośliwość odpowiedzieli złośliwością — żartownisiom w nocy namiot zwalili na głowy.

Miał być alarm za karę, ale Marian Lisowski, wówczas komendant brygady, nie zgodził się. Zebrał leszczyńskich w namiocie i powiedział: „Spać wam się nie chce, posłuchajcie pogadanki o tym, jak w partyzancie bywało”. Utrudzeni pracowitym dniem i nocnymi żartami — zasnęli przy pogodach jak niemowlęta. („I za co karać, skoro ich oburzenie wynikało z najlepszych pobudek — ktoś niewczesnym dźwiękiem dezorganizował im zajęcia, a oni naprawdę palili się do roboty. Teraz myślę sobie, co ważniejsze — efekty w metrach, tonach i złotychkach, czy ten ich zapal, to budowanie charakterów, ten codzienny, prosty wpływ na zacofanych jeszcze chłopów, dla których socjalizm przychodził trochę za nagle”).

Tamtej nocy wyjątkowo zasnęli przy pogadance. Zwykle chłoneli wiedzę z takim samym zapalem jak pracowali. Gdy w niedzielę dostawali przepustki, szli na Wawel, na Skałę. To były ich lekcje historii. Słyszeli o strajkach trzydziestego szóstego roku. I te lekcje coś znaczyły.

Tak szły z Leszna plutony co roku: 1948, 1949, 1950... Następni już stawiali budynki gospodarcze, kopali doły pod kuźnie, betonowali. Przy szłość coraz wyraźniej rysowała się w wyobraźni, to i zapal rósł. („Wierzę, że taki sam zapal da się wywołać i dziś. Niedawno spotykałem się z łódzkimi studentami na obozie wojskowym. W ich wypowiedziach słyszałem echa tego, co mówili chłopcy z mojej partyzanckiej kompanii i tego, co wśród junaków na budowie Nowej Huty słyszałem. To chyba mi przypominały niekiedy o naszej dawnej umiejętności trafiania do młodych”).

Emblematem „Służby Polsce” zaw sze towarzyszyły emblematy ZMP. ZMP-owcy organizowali całe junackie życie — i przy łopacie i przy ognisku. Oni prowadzili dyskusje o polityce, urządzali wieczory poświęcone kulturze i zawody sportowe. Dzięki nim efekty junackiej pracy przy budowie Nowej Huty liczą się nie tylko w metrach, tonach, złotychkach.

Drezdenko — gospodarność i patriotyzm

Jechałem do tego miasta z określonym nastawieniem. O Drezdenku wszędzie pisano, mówiono, filmowano. Mistrzowie gospodarności — najlepsi w kraju. Nastawiony zapewne przyjaźnie do starego słowiańskiego grodu (X wieków istnienia a od 651 lat prawa miejskie) nad Notecią, mimowolnie myślałem o jego wielkim, jak najbardziej współczesnym sukcesie z lekkim przybliżeniem oka: chyba jednak trochę im się udało...

Zaczęło się od zwykłego spaceru po mieście: rynek, ratusz, park i łabędzie. Czysto, schludnie. Nie da się ukryć, że coś się tutaj działo, że przygotowywano się jak do święta.

Podajam do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Odbiera się sesja rady, a sam przewodniczący Józef Gaczyński — na delegacji w Zielonej Górze. Udać mi się wyciągnąć z sali obrad sekretarza Prezydium — Leona Stańkę. Umawiamy się na później.

Na razie dostaję do ręki kronikę miasta prowadzoną przez miejscowego kronikarza — Stanisława Talarczyka. Autor jest przewodniczącym Miejskiego Komitetu FJN i dyrektorem miejscowego Liceum Medycznego.

Kronika jeszcze w rękopisie. Podziwiam sumiennność i dokładność notatek.

Niezwykle zdarzenia, jak we wspólnie baśni ze współczesnym happy-endem. Drezdenko już przed wiekami pełniło straż u brodu przy szlaku handlowym Poznań—Szczecin i stanowiło ważne ogniwo w systemie obronnym Piastów.

Zatarg o ten gród i Santok był jedną z przyczyn bitwy grunwaldzkiej. Niestety, nie wykorzystano wówczas największego w dziejach średniowiecza sukcesu militarnego Polski i całej Słowiańszczyzny. Drezdenko na wieki oderwano od macierzy.

Alle Polacy w nim mieszkający nie zapomnieli, skąd ich ród. Właśnie Wielkopolska, była zawsze żelazną rezerwą siły roboczej dla Drezdenka. Rezerwa tak dalece niepokojąca, że nawet po I wojnie mówiono o „niebezpieczeństwie polskim”, zagrażającym „niemieckiemu wschodowi”.

Sekretarz Prezydium jeszcze zajęty, więc po raz wtóry odwiedzam miasto. Udać się do Liceum Medycznego. Chcę porozmawiać z autorem arcydzieła kroniki. Jest zajęty, ale w końcu znajduje kilka naście minut, które zmieniły się w godzinną rozmowę.

Lata po wyzwoleniu. Oczywiście trudne, często heroiczne, ale nigdy pesymistyczne, ponure. Przyszli ludzie z różnych stron, zupełnie sobie obcy.

Wtedy — w r. 1945 — Drezdenko było największym miastem... włoskim na ziemi polskiej. Stało się tak dlatego, że zgrupowano tu liczący 6000 osób obóz jeńców włoskich. Także wielu jugosłowiańskich.

W prawdziwie rewelacyjnym tempie przywracano miasto do życia. Uruchamiano zakłady pracy, urzą-

dzenia komunalne. Szkołę podstawową, kino, stałe poprawiano apro-wizację. A poznaniacy? Byli oczywiście. Pierwszym faktycznym burmistrzem miasta był Kazimierz Derda, pierwszym sekretarzem PPR — Józef Marciniak. „Nigdy nie uruchomilibyśmy przemysłu — mówi mój rozmówca — gdyby nie pomoc fachowców z Poznania. Dodam poza tym, że przez wiele lat „Głos Wielkopolski” był najczęściej czytany dziennikiem w Drezdenku. Dzisiaj raczej trudno go dostać”.

Stanisław Talarczyk jest dyrektorem Liceum Medycznego. Ta pożyteczna placówka też się rozbudowuje. W czynie społecznym wzniesiono świetlicę, budynek z salą ćwiczeń pielęgniarstwa, budynek gospodarczy. Wartość czynu — 378 000 zł. Wpłaty rodziców i uczniów (zarebek przy wykopkach ziemniaków w PGR) — 173 000 zł.

Muszę kończyć ciekawą rozmowę. Zadaję jeszcze pytanie: czy pan uważa, że Drezdenko jest nadzwyczajne? Półśmiesz, chwila zastanowienia i pozornie zaskakująca odpowiedź: tak, w pewnym sensie tak. Chodzi przede wszystkim o ludzi i o tę jakąś atmosferę ciągłej gotowości do działania.

Wracam do Prezydium MRN. Sekretarz już czeka i wyruszamy razem w objazd Drezdenka. Leon Stańko był niejako dyrygentem czuwającym nad przebiegiem konkursu „Mistrz gospodarności”. On przede wszystkim prowadził rozmowy z ludźmi w komitetach blokowych, zakładach pracy, organizacjach społecznych. Teraz pokazuje mi również swoje dzieło. Remonty kapitalne 81 budynków (plan — 21), ponad milion zł na remonty kapitalne ulic, nowe elewacje na 124 budynkach, instalacja jarzeniowego oświetlenia ulicznego i wiele innych przedsięwzięć. Nie sposób wszystkie wliczyć.

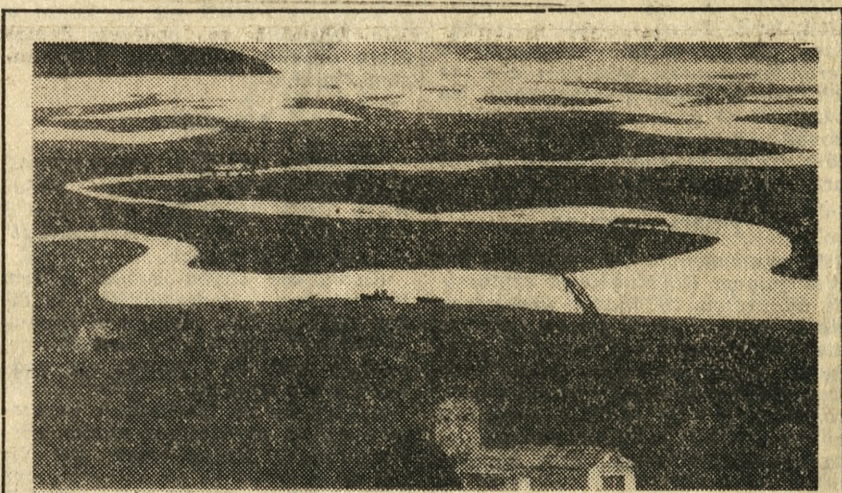
Trafiamy do najmłodszego zakładu pracy Drezdenka: Wytwórni cygar, uruchomionej przez Spółdzielnię Inwalidów Ziemi Lubuskiej. Warunki pracy bardzo dobre, choć pomieszczenie ciasne. Obecnie znalazło tu zatrudnienie 50 osób, przeważnie kobiet (docelowo 150).

Odwiedzamy kolejny zakład istniejący od 1956 r. Przetwórnictwo Owocowo-Warzywnicze. Straszna ciasnota i trudne warunki produkcji, ale aż 80 proc. wyrobów to eksport konserw warzywno-mięsnych. Spośród 5 milionów złotych nagrody za pierwsze miejsce w konkursie „Mistrz gospodarności” — milion otrzyma przetwórnica, co w sposób zasadniczy zmieni jej wygląd (nowa hala produkcyjna, nowy magazyn — klimatyzowany, adaptacja starej hali na potrzeby kulturalne).

Inny i chyba największy powód do chluby, bo też kłopotu z tym było co niebiara, to rozbudowa Liceum Ogólnokształcącego. 800 000 zł na ten szczytny cel dali sami obywatele. Czyn społeczny wyniósł 3,5 mln zł! Wszystko robią sami, w oparciu jedynie o pomoc miejscowych zakładów pracy.

Nasze zwiedzanie miasta kończy my wizytą w słynnej „Piwnicy”, eleganckiej, bardzo pomysłowo urządzonej kawiarni. Kilka lat temu był tutaj magazyn na ziemniaki. Gospodarność to także pomysłowość z domieszką fantazji. Siedzimy przy kieliszku koniaku. Oczywiście „Lubuskiego”. Powtarzam pytanie, które postawiłem dyrektorowi Talarczykowi: czy Drezdenko jest miastem nadzwyczajnym? „Tak” brzmi teraz zupełnie naturalnie. Tu nie było przypadków i dobrego dnia komisji oceniającej. Nieprzypadkowo za plecami nadnoteckiego grodu pozostało 359 konkurentów. W r. 1967 ludność miasta wypracowała społecznie 2 031 300 zł, czyli każdy dorzucił do wspólnego sukcesu po 274 zł. Faktem jest również, że oprócz wymienionych zakładów pracy, istnieją i inne, jak: Odlewnia Żeliwa Ciągłego, Zielonogórskie Zakłady Wrobów Papierowych, Spółdzielnia Pracy „Zdobycz Robotnicza”, POM czy Zakłady Przemysłu Terenowego, które poprzez ciągłą modernizację i rozbudowę corocznie zwiększają swoją produkcję. Nie sposób zresztą napisać o wszystkim co zrobiono, lista jest niezmiernie długa.

Kto, mimo wszystko co tutaj napisało, nie wierzy w niezwykłość Drezdenka, niech sam je odwiedzi, choćby w Lipcowe Święto. Niedaleko koleją 90 km (do Zielonej Góry koleją jadą 200 km, a autobusem 140 km). Przyjeżdżają Niemcy, często byli mieszkańcy „Driesen” i okolicy, mogą więc odwiedzić miasto sasiędzi — Wielkopoleanie. A jeśli już będziecie w Drezdenku, nie zapomnijcie w południe wysłuchać hejnału 650-lecia miasta. Skomponowali go studenci Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu.



Andrzej Kandziora — Półwysep Wolin
(linoryt barwny)

Wśród laureatów tegorocznych na gród państwowych, przyznanych z okazji Święta Odrodzenia Polski znalazł się zespół naukowców z Poznańskiej Wyższej Szkoły Rolniczej (w składzie: mgr. J. Rymaszewski, dr S. Sobiech i mgr A. Więckowski), pracujący pod kierunkiem kierownika Zakładu Uprawy Ziemniaka doc. dr. K. Piechowiaka. Rozmawiamy z nim w Gorzynie, gdzie mieści się placówka naukowo-badawcza Zakładu.

— Spodziewać się należy, że badania nad ulepszaniem metod uprawy ziemniaków prowadził pan docent przez dłuższy czas. Na czym polegał sukces ostatnich lat pracy?

— Szczegółowe badania nad ziemniakiem rozpoczęliśmy w zasadzie w 1956 roku. Skłoniła nas do tego katastrofalna obniżka plonów na plantacjach, spowodowana chorobami wirusowymi. Trzeba się zatem było zastanowić nad tym jak zapobiec tym stratom i podnieść produkcję ziemniaków.

— Problem, który nawet na myśl nie przyjdzie konsumentowi, zamawiającemu „schaboszczaka”, oczywiście z ziemniakami...

— No właśnie. A nam ten ziemniak, który przecież do konsumenta trafić powinien w formie (i treści!) możliwie najbardziej doskonałej, przysporzył w uprawie sporo kłopotu.

Aby podnieść plony, należało zaopatrzyć rolników w duże ilości zdrowych sadzeńców. celem zastąpienia posiadanych przez nich chorych. Powstał więc problem produkcji sadzeńców. Badania przeprowadzone w Gorzynie wykazały, że nie da się

Rozmawiamy z laureatami nagród państwowych

Do ziemniaka z... pomysłem

tęgo uzyskać stosowanymi dotychczas metodami. Opracowaliśmy więc nową metodę produkcji w tzw. rejonach zamkniętych. Pierwszy taki rejon został utworzony w 1958 roku w Gorzynie i jego okolicy. Była to — mówiąc obrazowo — wyspa w morzu wirusów ziemniaczanych, wyizolowana od otoczenia, o powierzchni początkowo około 3 tys. hektarów, a obecnie około 10 tys. ha.

— Wyniki były oczywiście dobre?

— Tak. Po 3 latach pracy otrzymaliśmy duże ilości zdrowych sadzeńców. Z kolei powstało pytanie, w jaki sposób za pomocą tych sadzeńców ozdrowieć ziemniaki na polach rolników. Opracowaliśmy wtedy system masowej wymiany sadzeńców, który eksperymentalnie wprowadziliśmy w całym powiecie międzychodzkiem. Chodziło o to, by zamiast dostarczać niewielkich ilości zdrowych sadzeńców każdemu rolnikowi z osobna, wymienić je jednorazowo w całym powiecie, a więc jednocześnie na dużym terenie. Po wprowadzeniu tego systemu w 1961 roku średnia wydajność powiatu z hektara podniosła się z 150 kwintali do 191 kwintali, a w następnym roku do 210 kwintali i na tym mniej więcej poziomie utrzymuje się do tychczas. Te wyniki świadczą najlepiej o skuteczności naszej metody.

—No, ale to był tylko jeden powiat...

— Tak, ale za międzychodzkiem poszły inne w woj. poznańskim, W

1963 roku tę samą metodę wprowadziło u siebie woj. wrocławskie, a potem kolejno inne województwa. Również z pomyślnymi rezultatami.

— Skoro zaś uporaliście się już panowie z problemem sadzeńców...

— Nie można powiedzieć, że uporaliśmy się już ostatecznie. Stale zajmujemy się doskonaleniem metod produkcji sadzeńców i kontroli jego zdrowotności. Ulepszyliśmy zna ne metody i opracowaliśmy własne, oraz system kontroli sadzeńców. Najpierw oczywiście trzeba było zorganizować służbę kontroli.

— Jak to wyglądało organizacyjnie?

— We wszystkich województwach zaczęły powstawać Stacje Kontroli Zdrowotności Sadzeńców Ziemniaka. Dwa lata temu, po zawarciu umowy między Ministerstwem Rolnictwa i Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego Gorzń przejął funkcję Ośrodka metodycznego, szkoleniowego, i kontrolnego dla wszystkich tych stacji w kraju. W związku z tym można było wprowadzić jednolity system kontroli sadzeńców, przeszkolić personel stacji, no i przy czynić się do podniesienia zdrowotności, a zatem jakości naszych ziemniaków.

— Oczywiście sadzeńcy to nie jedyny zakres działalności Gorzyny?

— Przecież Gorzń to także ośrodek dydaktyczny, tu się szkoli nasza młoda kadra, tu robią swoje prace

magisterskie nasi dyplomanci oraz wykonuje się szereg prac doktorskich. Nasza placówka stale się rozwija. Powstają coraz to nowe problemy naukowe i produkcyjne. Ziemniak jest bardzo interesującym obiektem badawczym.

Rozmawiała: WANDA CHILA



doc. dr Kazimierz Piechowiak

Życiodajna rzeka

Ląduję więc w Taszkencie. Jest dopiero druga połowa maja, a tu z nieba leje żar trzydziestu paru stopni w cieniu. Szukam śladów katastrofy sprzed 2 lat, kiedy to po 26 kwietnia 1968 roku, stolicę Uzbekiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej zaatakowało 775 wstrząsów, spośród których 20 miało siłę ponad 6 stopni według skali 12 punktowej. „Mielśmy szczęście, — mówi, — że wstrząsy te były pionowe. Gdyby zatrzęsło poziomo, straty by były znacznie większe i zginęłoby dużo ludzi”. Ofiar w ludziach było rzeczywiście mało, ale w mieście liczącym 1 200 000 mieszkańców prawie co trzecia osoba straciła dach nad głową. Na jedną przypadła teraz 5,4 metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej, o 0,1 metra mniej niż w 1917 roku...

Szukam śladów katastrofy sprzed 2 lat i niewiele ich widzę. Najbardziej podczas trzęsienia uciębły niewielkie jednorodzinne domki z gliny. Te usunięto bez śladu. Dopiero kiedy się bliżej rozejrzeć po samym śródmieściu, uderza mnogość wielkich pustych placów. Prawie wszystkie są zniwelowane, a na wielu rozpoczęto stawianie nowych bloków mieszkalnych. Zanim usunie się w mieście wszystkie ślady trzęsienia upłynie 7 lat. Zanim zaś śródmieście Taszkentu przyoblecze się w kształty, których propozycje oglądałem na wielkiej planzynie zajmującej centralne miejsca na wystawie gospodarczych osiągnięć Uzbekistanu — upły nie co najmniej dwakroć więcej czasu.

Na tej wystawie mieszczącej się w pawilonie nad Jeziorem Zwycięstwa w parku tego samego imienia, prócz

planszy przedstawiającej generalny plan rozbudowy śródmieścia po trzęsieniu ziemi, zobaczyć można duże osobne plansze niektórych ważniejszych gmachów i obiektów. Oto kom

**15000 kilometrów
po Związku Radzieckim**

pleks sportowy ze stadionem na 100.000 widzów. Oto śmiała kopuła cyrku z 3000 miejsc, dalej lekka i nowoczesna sylwetka centrum radia; oto nawiązujące do tradycji, a przecież ostatni krzyk mody architektonicznej, ukryte pod kopułą centrum targowe Plac Rewolucji. Tu staną: kilkunastopiętrowy hotel, teatr im. M. Gorkiego, kino. W sąsiedztwie znajdzie się najwyższy w Uzbekistanie 19-piętrowy gmach. Żałuję, że nie mam przy sobie aparatu.

Taszkent leży na lewym brzegu rzeki Czirczik, dopływu Syr Darii. Zafrapował mnie ten Czirczik tak dalece, że poświęciłem mu całonocną wyprawę samochodową. Dowiedziałem się bowiem, że na niespełna 60-kilometrowym odcinku Czircziku zbudowano aż 16 elektrowni wodnych zwanych w skrócie GES (hidroelektrostanacja).

Ruszyłem więc asfaltową szosą prowadzącą z Taszkentu na północny wschód w górę rzeki, do miasta Czirczik. Redakcji gazety taszkenckiej. Mówi:

To miasto ma silnie rozwinięty przemysł maszynowy i elektrotechniczny, gdzieś po drodze mineliśmy też wielkie zakłady azotowe dające o sobie znać charakterystycznym zapachem amoniaku. Mnie jednak fascynują elektrownie wodne. Właśnie pierwsza z nich powstała w mieście Czirczik. Zbudowano ją w 1934 roku. Jest niemal równieśnią słynnej Dnieproges imienia Lenina i choć daleko jej do mocy (653 MW) siostry na Dnieprze dała przecież początek nie tylko elektryfikacji ale i nawadniania żyznej gleby.

Towarzyszy mi Uzbek, Rachimberbi Umarow, sekretarz redakcji gazety taszkenckiej. Mówi:

— Ojciec mojej żony, Abil Tursun wajew, budował najpierw tę elektrownię, a potem miasto. Niedaleko stąd są moje rodzinne strony. Jako chłopiec pasłem tu krowy.

W tym ostatnim zdaniu jest trochę dumy z tego, jakiego skoku dokonał (nie on jeden zresztą!) i trochę rozczulenia nad tamtymi dziecięcymi czasami.

Mijamy więc, gdzie przed setkami lat zatrzymał się w swym marszu Aleksander Macedoński. Wieś nosi jego imię. Co jakiś czas jadąc wzdłuż płynącej w głębokim jarze rzeki trafiamy na elektrownię. Wreszcie samochód skręca na wyboistą drogę, rozjechaną kołami potężnych ciężarówek. Nieznacznie ale ciągle teren pnie się w górę. Po lewej stronie towarzyszy nam rzeka. Między nią, a drogą jest tor kolejowy. Wreszcie tor się kończy ostatnią stacją. Jeszcze jedziemy w górę. Z lewej rzeka, z prawej łagodne stoki. Kilkaś kilometrów dalej na dużym głazie wycięta

z drewna kilkumetrowej wysokości sylwetka Lenina. Obok niej na tablicy napis: „Siłwa radzieckim budowniczym elektrowni wodnych!” Jesteśmy tu celu. Tu właśnie powstaje najwyższe w górach rzeki Czirczik położona elektrownia wodna — Czarwagskaja GES. Tutaj zaczyna się już góry Tień Szań dalej i wyżej siedem górskich potoków zlewa się w Czirczik. Ta elektrownia będzie z szesnastu największa.

Wszędzie twarda skała. Wykopy i tunele wykują trzeba dynamitem, świdrami pneumatycznymi i innym ciężkim sprzętem mechanicznym. Tam zagradzająca rzecę drogę, ma 168 metrów wysokości i 762 metry szerokości. Za nią powstanie wśród gór sztuczne jezioro o powierzchni 37 kilometrów kwadratowych. Siła spływającej wody wprawi w ruch turbiny o mocy 600 megawatów. Pierwsza o mocy 150 MW ruszy w 1970 roku.

To wielkie, choć jak na warunki panujące w ZSRR wcale nie wyróżniające się przedsięwzięcie, odegra swą rolę nie tylko w elektryfikacji lecz również w nawadnianiu. Czarwagskaja GES przyczyni się do nawodnienia około 150 000 hektarów ziemi żyznej lecz ciągle spragnionej wody! A propos wielkich przedsięwzięć. Opracowano już plan pobudowania na wielkiej rzecy Syr Darii całego systemu elektrowni wodnych o łącznej mocy 4 400 MW. Syr Daria płynie wśród terenów pustynnych. Lewy jej brzeg, prawie na całej długości sąsiaduje z pustynią Kizylum. Wyobrazić więc sobie można jak olbrzymie znaczenie także dla rolnictwa będzie miało stworzenie na Syr Darii takiego systemu. Nie wiem, czy ktokolwiek obliczył, o ile wzrosną np. plony bawełny zwanej tu „białym złotem”. W 1967 roku zebrano w Uzbekistanie ponad 4 000 000 ton (w 1913 roku zaledwie 521 700 ton). Trudno przewidzieć o ile wzrosną zbiory ryżu (w 1967 roku — 170 000 ton), którego tutaj otrzymuje się 50—55 q z hektara. W każdym razie wzrosną bardzo wyraźnie.

Rozglądam się po terenie budowy i pierwsze, co uderza to to, że nie widać prawie ludzi. Dostrzegam w końcu niewielką grupę przy jednym z tuneli. Pracują tutaj też koparki. Front robót przebiega gdzieś wyżej — za grzbietem zakrywającym widok, ale i tam niewiele na pozór się dzieje. Ogrom terenu pochłania cała armia budowniczych. Parę kilometrów stąd powstało przecież osiedle, w którym żyje 5 000 ludzi — budowniczy z rodzinami. Osiedle nie ma w sobie nic z tymczasowości. Po prostu nowe miasteczko. Przeważają 2 typy domów: parterowe i 2-3 piętrowe. Wszystkie podobne do siebie. Czyste, schludne, zadbane. I miasto już pozostanie, nawet po zakończeniu budowy.

Tymczasem jednak budowa trwa w pełni. Z chaosu wykonów wylania się powoli przyszyły kształt elektrowni wodnej. Przez jeden z tuneli przenikła kłębując się i kołując woda. Za dwa lata, całkowicie ujażdżona, poruszać zacznie z woli człowieka prądotwórcze turbiny i życiodajnie nawadniać ziemię.

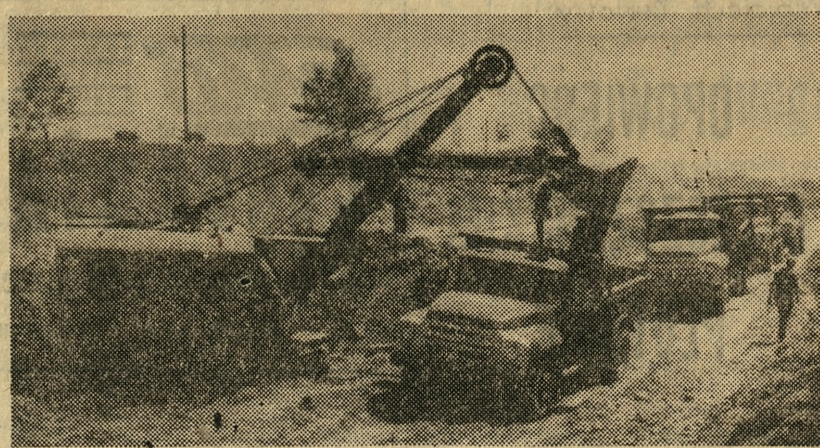
analizy zagadnienia funkcjonowania organów przedstawicielskich — form urzędniczych zasady ludowładztwa; zagadnienia demokracji społeczno-ekonomicznej a zwłaszcza demokracji wewnętrznej i jej efektów zarówno w dziedzinie produkcyjnej jak i kształtowania stosunków międzyludzkich (...).

Tym samym nurtem idzie również Tygodnik Kulturalny, publikując swój komentarz nt. tej pt. „Celem jest człowiek”. W Życiu Gospodarczym natomiast ukazał się dwugłos w dyskusji przedzjazdowej zamieszczony na zasadach wolnej tribuny.

KSZTAŁT PATRIOTYZMU

Rozwijając dyskusję pod hasłem „wychowawcy i wychowywani” tygodnik Fakty i Myśli publikuje artykuł Mieczysława Michałika pt. „O konkretny kształt patriotyzmu”. Pisząc, że tradycja polskiego patriotyzmu nie jest jednolita, sięga bowiem do źródeł rycerstwa, romantyzmu, gotowości do obrony kraju, autor podkreśla nowe treści patriotyzmu — socjalistycznego:

„... obejmuje (on) rzetelny i twórczy stosunek do pracy w każdej dziedzinie społecznej aktywności człowieka. Wynika on z uczciwości wobec ogólnonarodowej społecznej własności, jej ochrony i stałego pomnażania. Patriotyzm socjalistyczny, to między innymi postawa zaangażowania ideowego i społecznego, aktywności i inicjatywy, pełnego uczestnictwa w życiu narodu na



Jedną z najbardziej uczęszczanych tras jest międzynarodowa droga E-12, prowadząca od przejścia granicznego w Kudowie Zdroju, przez Warszawę do ZSRR. Obecnie trwa jej modernizacja. Prace prowadzi Poznańskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych, stosując nowoczesny sprzęt.

CAF — Wołoszczuk

Irena Frąckowiak

Parkinson w sosie polskim

Toniemy! (w wodzie...?)

O, nie. W wodzie ginie rocznie około tysiąca osób. Dopiero w przemyśle żywności te gubią miliony. Nie dybiąc na niczyje zdrowie ani życie, potrafia zepsuć krew setkom tysięcy obywateli, którzy stykają się z przedstawicielami administracji — a jednocześnie uprzykrzyć samo pełnienie władzy w województwie, powiecie, gromadzie.

ŻEBY CHOCIAŻ PRZEPISY KUCHARSKIE...

Władza ludowa ma pole do popisu wtedy, kiedy jest samodzielną kompetentną, inspirowaną społecznie. „W OKRESIE OD IV ZJAZDU PZPR — czytamy w Tezach — NASTAPIŁ DALSZY WZROST ROLI RAD NARODOWYCH JAKO ORGANÓW WŁADZY LUDOWEJ i GO SPODARZY TERENU”. I trochę dalej: „ZWIEKSZENIE UPRAWNIEN RAD NARODOWYCH NIŻSZYCH SZCZEBLI PODNOZI ODPOWIEDZIALNOŚĆ RAD ZA CAŁOKSZTAŁT ICH DZIAŁALNOŚCI W TERENIE”...

Faktycznie zwiększono uprawnienia rad narodowych, zwłaszcza powiatowych, co w naturalny sposób podniosło stopień ich odpowiedzialności i autorytet społeczny. Lecz jednocześnie powódź poleceń, wyjaśnień, komentarzy, instrukcji, zarządzeń, uchwał, okólników itp. zalewa terenowe ogniw władzy i zlecone im pieczy sprawy obywateli. Na przykład w gastronomii obowiązują ponad pół tysiąca różnych przepisów (żeby to chociaż były dobre przepisy kucharskie!).

PIÓREM AUGURA

W przesławnym Słowniku mistrza Wiadysława Kopalińskiego czytamy że augurowie to ludzie uważający się za wyrocznię w jakiejś dziedzinie. Takich wyroczni mamy w kraju jak ziaren w korcu maku. Chcą wszystko przewidzieć, znaleźć z góry rozwiązania dla każdej możliwej ewentualności. Jeśli nie uda im się za pierwszym razem, piszą komentarze do zarządzeń i komentarze do komentarzy do zarządzeń i komentarze do komentarzy do komentarzy...

co dzień. To również wysoka dojrzałość polityczna, znajomość realnej sytuacji i potrzeb narodu, nastawienie na zabezpieczenie jego najbardziej żywotnych interesów. To z wiązanie własnego losu z losem socjalistycznego narodu, zespolenia własnych życiowych wysiłków i ambicji z jego ambicjami i wysiłkami, z tępem jego współczesnego, pokojowego życia. Narodem zaś są z tego punktu widzenia masy społeczne: ich interesy to interesy narodu. Toteż nie ma patriotyzmu socjalistycznego jednostki bez poczucia jej więzi z masami...

NAUKA I PRZEMYSŁ

Jakie są związki między przemysłem a nauką, ich współzależności i rezultaty współdziałania — stara się odpowiedzieć Tadeusz Robak na łamach Życia Literackiego w artykule „Od pomysłu do przemysłu”.

„W krajach wysoko rozwiniętych (...) przeciętnie 11 procent wszystkich prac naukowych poświęconych jest badaniom podstawowym. Znacznie większy procent przypada na badania stosowane (37 procent), natomiast ogromna większość na prace wdrożeniowe, będące już pełnięciem na tory praktycznych zastosowań osiągnięć bardziej ogólnych, uprzednio uzyskanych (52 procent). U nas ta grupa stanowi zaledwie 6,1 procent prac prowadzonych w PAN, 7,5 procent w wyższych uczelniach, a nawet instytucjach resortowych, powołanych właśnie do wdrożeń tylko 11 procent. Pięciokrotnie mniej niż w bogatych, rozwiniętych krajach! Prowadzenie badań podstawowych w takim natężeniu dąłoby się usprawiedliwić, gdyby prowadzone było obok prac wdrożeniowych, a nie ich kosztem. Niestety, rozwijanie ich zamiast — two

ZDROWIE(I) O POŁOWĘ MNIEJ

„NIEZBĘDNE JEST RADYKALNE OGRANICZENIE LICZBY ZARZĄDZEŃ, INSTRUKCJI, OKÓŁNIKÓW I PISM KIEROWNYCH DO ORGANÓW RAD...” — brzmią słowa Tez. Już przed dwoma laty Premier zarządził, aby uporządkowano (czytaj: ograniczono) radosną twórczość w dziedzinie resortowego prawodawstwa. W czasie dzielącym nas od tego zarządzenia Ministerstwo Budownictwa uchyliło przeszło 600 aktów prawnych, Ministerstwo Handlu Wewnętrznego — 580, Ministerstwo Finansów postawiło sobie za cel zmniejszenie liczby obowiązujących zarządzeń o dwie trzecie, a resort zdrowia o połowę.

Niestety, rzecz biegnie dwutorowo. Na jednym torze anuluje się zbędne przepisy, na drugim — ogłasza nowe. O tym, jak wypadnie bilans niszczenia i tworzenia ministerialnych aktów prawnych, daje pewne pojęcie statystyka Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach. Tylko w jednym kwartale ub. r. (tj. w czasie, gdy już obowiązywały cytowane zarządzenia Premiera) Prezydium otrzymało od władz naczelnych 2 598 różnych aktów prawnych, z czego resort zdrowia nadesłał 528.

Kieleckie PWRN nie pozostało w tyle. Urażyło np. podległe Prezydium PRN w Pińczowie 1155 instrukcjami.

APELUJEMY

„TRZEBA NADAŁ ZWIEKSZAĆ WPŁYW PLENARNYCH SESJI RAD I ICH KOMISJI NA PRACE ORGANÓW WYKONAWCZYCH” — czytamy w Tezach.

Każdy się chyba zgodzi z tym wskazaniem — ludowładztwo to ludowładztwo. Cóż, kiedy pod tonami „odgórnej” inicjatywy urzędniczej milkną „oddolne” propozycje radnych i ich komisji.

Apełujemy do wszystkich uprawnionych do wydawania aktów normatywnych. Zastanówcie się! Nie „co czynicie” — bo przepisy prawne są niezbędne — ale „ile czynicie”. Przecież tu nie o ilość, lecz o jakość chodzi...

ry wyrażną lukę w zaspokajaniu istotnych potrzeb gospodarczych. Obecnie wiele krajów bogatszych po prostu korzysta z wyników naszych badań, rozwija swoje prace stosowane właśnie o to się opierając. A my — my kupujemy u nich licencje i produkty...”

Jakie są tego przyczyny? Brak zainteresowania przemysłu nowymi rozwiązaniami, brak związków przemysłu z nauką i ... nauki z przemysłem. Paradoks rozwiązać mogą ściślejsze związki planów badań i potrzeb społecznych.

PROPONUJEMY

Proponujemy ponadto zająć do innych periodyków. Stanisław Kozyr-Kowalski w Argumentach pisze o polityce i etyce; Życie Literackie przedstawia laureatów literackich nagród państwowych; Kultura oraz Walka Młodych zamieszczają artykuły na temat nowo powstałego uniwersytetu na Śląsku; Maria Wisłocka w Tygodniku Demokratycznym pisze „Informację o informacji”; Motor zamieszcza tabelę „Małolitrażowe wciąż aktualne”, w której dość skutecznie broni się nasza „Syrenka”; w Polityce znajdziemy wywiad z sekretarzem i członkiem Biura Politycznego KP Izraela Meirem Wilnerem pt. „Izrael traci szansę”. Prawo i Życie poddaje ocenie skuteczność kontroli społecznej w dziedzinie handlu, gastronomii i usług.

LEKTOR

Włodzimierz Kaczocho

Reporterskie peregrynacje

Autorów piszących reportaże o współczesnej wsi, a przynajmniej tych, którzy na stałe się zdecydowali, by pisać o problematyce wiejskiej, można policzyć na palcach jednej ręki.

Maciej Gryfin, dziennikarz poznański, należy właśnie do tych reporterów, którzy od lat z solidnym zainteresowaniem piszą o wsi i jej sprawach. Gryfin najczęściej pisze o wsi nowoczesnej. Jeśli penetruje przeszłość, to dlatego, by prawem kontrastu, pokazać jak ogromnie dużo przemian można zanotować w rozwoju gospodarczym i technicznym, w kulturze rolnej, w obyczajach i zwyczajach.

Gryfin pisał swoją książkę dla określonych czytelników, co to znają swoją pracę, dla których statystyka jest żywą materią, ale niechże i człowiek z miasta ów tom przeczyta dla pożytku edukacyjnego i przekonania, że wielkopolskie państwowe gospodarstwa rolne, są w pełni nowoczesne. Bo tak się składa, że owe kilkanaście wsi, które portretuje Gryfin, należały ongiś do Żółtowiskich, Morawskich, Turnów, etc. Z faktu swojej przynależności do polskiej lub niemieckiej dziedziczy wynikało tylko zacofanie kulturalne, bieda materialna, i od czasu do czasu, farnalskie strajki. Wszystko to wydobyla Gryfin z mroków wydałoby się dalekiej przeszłości, prawie niewiarygodne dla współczesnego Polaka Anno Domini 1968. Cechą książki Gryfina jest właśnie owo sumienne portretowanie przeszłości i współczesności. Wnioski z tego ostrego zderzenia dwu czasów, dwu epok historycznych, każe Gryfin wyciągać samemu czytelnikowi.

Podoba mi się kompozycja tej książki. Polega ona na tym, że każdy rozdział tomu reportaży rozpoczyna Gryfin cytowaniem fragmentu z książki pt. „Tamten brzeg” emigracyjnego polityka i byłego ziemianina z terenu Wielkopolski, Kajemana Morawskiego. Pomysł znakomity dlatego, że autor wprowadził literacko interesującą formę dialogu, chwilami monologu z odkrytym partnerem.

I tak otrzymaliśmy książkę interesującą i wartościową. To nie, że sporo w niej chropawej publicystyki, bo książka Gryfina jest dobrym dokumentem współczesnej wielkopolskiej wsi, jest portretem bardzo wielu zwykłych ludzi o stwardniałych od pracy dłoniach i mądrych głowach.

* Maciej Gryfin — „Jaśnie oświeceni i ciemniacy” — wyd. Poznańskie 1968, str. 203.

Przeglądamy Prasę

TEZY — NA ŁAMACH

Trwa dyskusja przedzjazdowa na łamach naszych periodyków. Prawo i Życie w swoim komentarzu redakcyjnym pisze w związku z tezami:

„Jak nie przewodnią przenika przez wszystkie rozdziały zjazdowe też zdecydowana DYREKTYWA METODOLOGICZNA. Lud pracujący miast i wsi jest podmiotem wszelkich przemian w naszym kraju. On decyduje o KSZTAŁCIE SOCJALIZMU. Demokracja społeczno-ekonomiczna i rzeczywiste ludowładztwo, zabezpieczone instytucjonalnie, służą temu, by w coraz szerszej skali zapewnić wpływ ludzi pracy na bieg spraw państwowych i społecznych — w sposób konkretny i na różnych szczeblach działalności politycznej, gospodarczej i kulturalnej. Partia zdaje sobie w pełni sprawę, że nie następuje to automatycznie, bezpośrednio i wprost — wcielanie w życie idei „wymaga stosowania w praktyce takich metod zarządzania, które sprzyjają rozwojowi społecznej inicjatywy i pogłębiają poczucie odpowiedzialności obywateli za sprawy kraju”. Ten akcent występuje z całą wyrazistością: dyscyplina społeczna, poszanowanie prawa i zasad socjalistycznego porządku społecznego to najlepsze i bezpośrednie przygotowanie do korzystania z demokracji socjalistycznej (...).

W dyskusji przedzjazdowej na pewno trzeba wziąć na warsztat prawniczej